

**ALFRED
SIATECKI**

**ŚWIĘTEJ
PAMIĘCI**

ALFRED
SIATECKI

ŚWIĘTEJ
PAMIĘCI

© Copyright by Alfred Siatecki & e-bookowo

Korekta: Katarzyna Krzan

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-8166-520-9

ISBN druk: 978-83-8166-521-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2026

Wyszło szydło z worka
Przysłowie

PROLOG

Stary Cmentarz

30 września 2025 r.

Pierwszy kroczy kościelny z plastikowym Chrystusem na drewnianym krzyżu. Powoli, równo, dostojnie, trzymając głowę wysoko, jakby był najważniejszy. Za nim maszerują dwa poczty sztandarowe złożone z samych emerytów, przepasanych biało-czerwonymi szarfami. Jesienny wiatr zawiewa od ulicy równoległej do głównego traktu, mimo to chorążowie o pociętych żyłkami twarzach starają się trzymać sztandary tak, żeby były widoczne z tyłu konduktu. Chłopak w harcerskim mundurku niesie zieloną poduszkę z przypiętym do niej, pobłyskującym złotym krzyżem zasługi. Orkiestra dęta w niepełnym składzie, bo przedpołudnie i środek tygodnia, gra to, co się gra podczas pogrzebów organizowanych na koszt miasta. Proboszcz idzie przed dwoma wikarymi, a ci człapią po obu stronach podpierającego się laską kanonika, który mógłby mieszkać w domu księży emerytów, gdyby nie domagał się warunków nie do spełnienia, dlatego

zajmuje pokój rezydenta na plebanii. Za udekorowanym czterema wieńcami z szarfami białym Lincolnem Superiorem, który podczas pogrzebu spełnia rolę karawanu, a kiedy indziej bywa autem przewożącym nowożeńców do kościoła i z powrotem, podąża wdowa w kapeluszu i woalce zasłaniającej twarz, dwaj synowie i córki, zięciowie i synowe, czwórka dorosłych wnuków, sześcioro prawnuków i jeszcze kilka osób z dalszej rodziny. Dopiero za nimi stąpa wicewojewoda z asystentem i kierowcą, dźwigającymi spory wieniec na rusztowaniu z świeżych gałązek świerku, przeyykanych białymi i czerwonymi różami. Troszkę mniejszy wieniec niesie asystent wicemarszałka województwa. Krok za nimi idzie zastępca prezydenta miasta, dwoje radnych, przedstawiciele zarządu miejskiego Nowej Demokracji z kilkoma członkami tego ugrupowania, harcerze i licealiści. Na samym końcu posuwa się czterech starszych mężczyzn i dwie kobiety w ich wieku.

Ostatnia środa września. Tego dnia Marek Jung i jego żona biorą urlopy i przed południem jadą na cmentarz. Zaraz po pogrzebie ojca i teścia postanowili, że każdej ostatniej środy miesiąca będą zapalali po dwa znicze na jego grobie. Tak ma być aż do końca żałoby. Gdy tylko do ich uszu dostają się pierwsze dźwięki orkiestry, Urszula mówi, że umarł ktoś ważny. Nie najważniejszy czy bardzo ważny, bo o tym byłoby głośno w mieście. Może na tablicy przed którymś kościołem wisiała klepsydra z imieniem, nazwiskiem, funkcją i zasługami zmarłego? A może w bezpłatnym tygodniku, który każdego piątku z rana ktoś wrzuca do ich skrzynki na listy, było coś na ten temat? Zaskoczony pytaniem żony Marek

zapewnia, że w ostatnim numerze „Czasu” prezydent miasta nikomu nie składał kondolencji. Nie widział żadnego nekrologu czy informacji o śmierci kogoś, kogo on jako uniwersytecki doktor historii i regionalista powinien znać.

Sędzia w stanie spoczynku, który codziennie przychodzi na cmentarz i zapala znicz na grobie niedawno zmarłej żony, podnosi się z ławeczki i również odwraca głowę w stronę konduktu wlekącego się głównym traktem. Marek pyta go, czy wie, kto i czym sobie zasłużył na taki pochówek. Zamiast odpowiedzieć, sędzia przecina ręką powietrze, co oznacza, że nie wie lub wie, ale do tego się nie przyzna.

Zaciekawienie nakazuje Markowi dołączyć do konduktu. Nie często bywa, żeby pogrzeb prowadziła orkiestra dęta i przed karawanem szło aż czterech księży. Tym bardziej że wśród nich jest poprzednik obecnego proboszcza parafii na Osiedlu Słowackiego.

Marek uważa, że skoro urodził się w Zielonej Górze, jest nauczycielem licealnym, doktorem historii i regionalistą, powinien wiedzieć więcej o zasłużonych mieszkańcach niż fizyczka czy polonistka. Kilka razy zabierał się za zebranie materiałów do leksykonu Zielonogórczan zasłużonych dla miasta i kraju, nawet założył folder w swoim laptopie i kupił poradnik, co podać, żeby hasła były krótkie i nie domagały się dowodów, ale teraz postanowił, że nie ma co tego odkładać. Idąc na końcu konduktu, stara się wyłowić cokolwiek z rozmów tych osób, które stawiają nogi przed nim w takt rytmu podawanego przed orkiestrę. Ani razu nie pada nazwisko zmarłego, jakby to nie był jego pogrzeb. Kobieta

z prawej strony pyta swoją sąsiadkę, kto będzie następnym i czy ksiądz kanonik doczeka tego dnia.

– Przecież on może mieć ze sto lat – dodaje.

– Kanonik jeszcze nie jest taki stary – twierdzi sąsiadka. – On tylko tak wygląda.

Gdy kościelny z krzyżem przystaje za marmurową tablicą z wyzłoconymi literami układającymi się w napis „Kwatera Weteranów Walk o Wolność, Niepodległość i Osób Represjonowanych”, kondukt się zatrzymuje. Czterej mężczyźni w czarnych pelerynach i białych rękawiczkach wysuwają trumnę z karawanu i stawiają ją na platformie windy, pod którą grabarz wykopał dół, obrzeżony sztuczną trawą. Orkiestranci stają między grobami. Jeden z wikarych ustawia harcerza tak, żeby każdy widział krzyż zasługi, przypięty do zielonej poduszki, teraz mocniej błyszczący w słońcu. Wdowa siedzi na krześle, synowie i córki stoją za jej plecami, zięciowie i synowe niecały krok z tyłu, wnuki i prawnuki po bokach. Jak podczas wszystkich pogrzebów religijnych, w których uczestniczył Marek Jung, a było ich niewiele, ksiądz sięga po mikrofon i rozpoczyna ceremonię. Marek nie pamięta, czy identycznie było pół roku temu, gdy ten sam proboszcz na tym samym cmentarzu, tylko bliżej kaplicy pogrzebowej, stał z mikrofonem przy trumnie jego ojca. Nie pamięta też, czy poza wymienieniem imienia jeszcze coś powiedział o ojcu, a teraz ksiądz przypomina, czyje ciało leży w trumnie, ale gdyby wycisnąć puste słowa z długich zdań, nic by nie zostało. Gdy proboszcz cofa się między wikarych, jego miejsce zajmuje wicewojewoda.

– Z własnej woli zebraliśmy się w tym miejscu, aby swoją obecnością zaświadczyć, jak wielkie zasługi w dziele walki o wolność, równość, niepodległość, sprawiedliwość i demokrację wniósł ten, który za chwilę odejdzie na wieczną wartę – czyta wolno, wyraźnie, głosem podniesionym, jakby stał na trybunie. – Przybyliśmy na to piaszczyste wzgórze, aby w modlitewnym skupieniu pożegnać niekwestionowanego bohatera. Oddać cześć temu jednemu spośród nas, którego heroiczny czyn na zawsze został zapisany złotymi literami w historii naszego pięknego regionu i coraz bardziej znaczącego miasta. Temu, który swoją postawą zasłużył na to, żeby młode pokolenie miało z kogo brać przykład, jak żyć. Który, nie mam najmniejszych wątpliwości, powinien być patronem ulic i placów, szkół i placówek kulturalnych, memoriałów i nagród. Wierzę, że doczekam tego pięknego dnia, kiedy jako przedstawiciel władz państwowych będę mieć możliwość wzięcia udziału w uroczystości odsłonięcia jego pomnika na którymś z reprezentacyjnych placów naszego miasta. Cześć jego świętej pamięci!

Dotąd nie padło imię ani nazwisko zmarłego. Marek pyta staruszka w podniszczonym prochowcu, czym zajmował ten, którego zasługi wysławiał wicewojewoda. Staruszek nie usłyszał pytania lub je zbagatelizował, bo nawet nie macha ręką lekceważąco ani nie karci wzrokiem. Marek powtarza pytanie kobiecie tak samo leciwiej jak stojący obok niej mężczyzna, tyle że ukrywającej siwe i już przerzedzone włosy pod szarym kapeluszem.

– Długo by o tym mówić – odpowiada zagadkowo i wraca spojrzeniem w kierunku proboszcza, który sterczy przy trumnie pod namiotem.

Zastępca prezydenta miasta poprawia krawat, robi krok przed siebie, staje przed mikrofonem, ale jeszcze się nie odzywa, jakby czekał, kiedy wicewojewoda schowa okulary w kieszeni, złoży kartkę, na której miał to, co po kimś przeczytał, i wróci na swoje miejsce w pierwszym szeregu.

– Pana Witolda poznałem niedawno w sytuacji okolicznościowej – obwieszcza wiceprezydent. – Podczas wyjątkowego spotkania tych, którzy od pamiętnego czwartego czerwca osiemdziesiątego dziewiątego roku mogą się cieszyć, że doczekali tego dnia, o którym mają prawo powiedzieć, że wreszcie są we własnym domu. Tym domem pana Witolda był skromny budynek na Osiedlu Słowackiego i nasze coraz większe, bardziej znaczące w kraju i za granicą miasto, o czym przed chwilą w poruszających słowach mówił pan wicewojewoda. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest w tym wręcz heroiczna zasługa pana Witolda, bojownika o wolność, niepodległość i prawdziwą demokrację. Szkoda, naprawdę wielka szkoda, że pan Witold nie doczekał tego bliskiego już dnia, kiedy na skwerze przy Urzędzie Miasta najpierw zostanie wzniesiony widoczny z daleka, a potem uroczystie odsłonięty Pomnik w Hołdzie Ludziom Walki o Wolność i Równe Prawa. Tam każdego roku drugiego listopada, w święty Dzień Zaduszny, będziemy się spotykali, zapalali znicze i składali wiązanek kwiatów, wspominając tych, którzy odwagą i przede wszystkim bohaterskimi czynami zaznaczyli swoją obecność w naszym mieście. Sąsiedni, dotąd bezimienny skwer od najbliższej sesji Rady Miasta będzie nosił twoje imię, drogi panie Witoldzie. Zapewniam

pana, że nikt nawet spośród opozycyjnych radnych nie sprzeciwi się słusznej decyzji podjętej przez prezydenta miasta, którego staram się godnie reprezentować podczas dzisiejszej uroczystości. Jestem przekonany, że wszystkim tu obecnym tak samo jak mnie jest bardzo przykro z powodu tego, co się stało, ale przecież nikt nie jest wieczny. Bardzo proszę szanowną małżonkę zmarłego, wybitnie zasłużoną działaczkę opozycji demokratycznej, i członków jego rodziny o przyjęcie płynących z głębi serca wyrazów serdecznego współczucia. W tej trudnej chwili jesteśmy z wami.

Po kilka krótkich zdań o zasługach zmarłego mówią krótko radni: kobieta, którą twierdzi, że jest z koalicji, i mężczyzna, który podaje się za przedstawiciela opozycji w Radzie Miasta. Z ich wypowiedzi Marek Jung dowiaduje się jedynie, że przeniósł się do wieczności ten, który mógł jeszcze tyle dobrego zrobić i że tę pustkę będzie bardzo trudno wypełnić.

Po nich do mikrofonu podchodzi jeden z tych dwóch mężczyzn, którzy posuwali się na końcu konduktu. Wygląda tak, jakby był weteranem nie drugiej, a pierwszej wojny światowej, ale to niemożliwe, ponieważ nawet dzieci tych, którzy wtedy wojowali, już nie chodzą na pogrzeby. Po lewej stronie jego za dużej i niemodnej marynarki wisi nieznany Markowi medal. Pewnie więc świadomy opozycjonista, strajkowiec, skazany na więzienie za tę postawę, albo działacz związkowy. Może jest uważany za lokalnego kombatanta Solidarności?

– Drogi kolego, Witku – odzywa się chropawym głosem, po czym przerywa i zaczyna gmerać w kieszeni spodni. Wyjmuje chusteczkę złożoną w kostkę, rozkłada ją i najpierw

długo wyciera nos, potem osusza czoło z potu i na końcu łą-
wiące oczy.

Marek niewiele rozumie z tego, co on mówi, ponieważ
kombatant nie kombatant to połyka słowa, to chrząka, to po-
ciąga nosem lub zwraca głowę w stronę zastępcy prezydenta,
jakby oczekiwał zgody na kontynuowanie przemowy.

– Czy jeszcze ktoś ma ochotę zabrać głos? – pyta pro-
boszcz, wyciągając szyję z koloratki.

Cisza.

Grabarze spuszcza ją trumnę do dołu, ustawiają krzyż tam,
gdzie głowa zmarłego, układają wieńce i wiązanki na grobie
i wokół. Ksiądz kończy ceremonię.

Marek Jung przedstawia się wicewojewodzie i prosi, żeby
powiedział więcej o zmarłym. Nie tylko na jego użytek jako
nauczyciela historii i regionalisty, lecz i tych czytelników,
którzy sięgają po „Studia nad Przeszłością”, oraz znajdu-
jącym się jeszcze w jego głowie leksykonie zasłużonych
Zielonogórczan.

– Na wszystko, co było najistotniejsze w bohaterskim
życiu świętej pamięci pana Wiktora, wskazałem w swoim wy-
stąpieniu – odpowiada wicewojewoda, nawet się nie zatrzy-
mując. – Bardzo się spieszę.

O zastępcy prezydenta Marek wie tyle, że trzy lata temu prze-
stał być dyrektorem tego liceum, w którym on został nauczy-
cielem. Podchodzi do niego jak do starszego kolegi, przypomina
swoje nazwisko i gdy zaczyna pytać o zmarłego, słyszy:

– To bardzo dobrze, że kolega doktor również znalazł czas,
żeby przyjść na pogrzeb. Zwłaszcza teraz potrzebujemy takich

pedagogów, których interesują dzieje miasta, a zwłaszcza osoby złotymi literami zapisane w naszej historii. W czasach mojej młodości mówiło się, że takie miasto jak nasze nie może obejść się bez księży, lekarzy i nauczycieli. Niektórzy dodawali: oraz adwokatów. Mimo powszechnej elektronizacji i komputeryzacji wszystkich bez wyjątku dziedzin życia, także edukacji, tamto pozostało aktualne. Oby jak najdłużej trwało. I oby na pierwszym miejscu był człowiek. Ten człowiek utalentowany, z zaletami, wzór do naśladowania, lecz i ten zwyczajny, prosty, także ten ze słabostkami. Nasza kochana młodzież musi mieć źródło, z którego będzie czerpała wiedzę. Tym źródłem byłem ja jako dyrektor liceum, teraz jest nim pan, kolego doktorze.

– Chodzi mi o to, czym zasłużył się zmarły? Wicewojewoda powiedział, że ma na imię Wiktor. Pan że Witold. Czy pan go znał?

Zastępca prezydenta wyjmuje kartkę z kieszeni.

– Witold – zapewnia. – Życiorys pana Wiktora, przepraszam, Witolda jest głęboki, utkany z przykładów godnych naśladowania, czego sobie i panu życzę. On, ten z jednej strony zwyczajny, gdyż nie napisał dysertacji doktorskiej jak ja i pan, z drugiej nad wyraz oczytany, a przy tym sumienny, wręcz gorliwy, pokazał nam, głęboko wykształconym, jak być twórczym i zaangażowanym mieszkańcem miasta. Jak mimo zniewolenia, z czym mieliśmy do czynienia w przeszłości, potrafił nie ugiąć się i pozostać sobą. Nie przesadzam, kolego doktorze. Nie przesadzam... – zawieszając głos, by po chwili zapytać, czy promotorem jego rozprawy doktorskiej również był profesor Szczegóła.

– Zgadza się. Badałem powojenne osadnictwo ludności łemkowskiej i bojkowskiej w południowych powiatach Środkowego Nadodrza. Za tę pracę dostałem nagrodę ministra.

– A ja po napisaniu doktoratu byłem bardzo blisko końca studium dotyczącego działalności opozycyjnej w naszym regionie, ale nie było mi dane dokończyć pracy. Namówiony przez kolegów z Nowej Demokracji przyjąłem odpowiedzialne wyzwanie w samorządzie miasta.

– To...

– Niech kolega zaprosi wdowę po panu Witoldzie, to znaczy Wiktorze, na spotkanie z młodzieżą. Warto. Naprawdę. – Zastępca prezydenta wyciąga rękę do Marka. – Jak pan kolega znajdzie czas, to zapraszam do mojego gabinetu na dłuższą rozmowę. A teraz, proszę wybaczyć, muszę lecieć.

Przedstawiciel zarządu miejskiego Nowej Demokracji, który odczytał płomienną mowę, przyznaje się, że nie on jest jej autorem.

– Miał ją wygłosić przewodniczący albo jego zastępca. Niestety, tak się złożyło, że jeden musiał wyjechać, a drugi leży w szpitalu od wczorajszego wieczoru, dlatego ja. – Po krótkim namyśle dodaje: – Takich patriotów jak Witek jest coraz mniej wśród nas.

– A czym zmarły się wykazał?

Partyjniak rozciąga rękę i mówi, że nie miał okazji go poznać.

– Może moi koledzy powiedzą coś więcej?

Jego koledzy również nie wiedzą, kim był i czym się zajmował zmarły. Nawet nie znają jego nazwiska.

– Jak zadzwonią od prezydenta, koledzy wyciągają sztandar z gabloty, wpinają znaczki Nowej Demokracji w klapy i jadą na cmentarz – wyjaśnia mężczyzna w kapeluszu.

– Jak pod koniec roku, to znaczy jesienią zaczyna ubywać dnia, tak i nas zaczyna być coraz mniej. Odchodzą bohaterowie tamtych ciężkich dni. Daj Panie Boże, żeby i nas, jak przyjdzie ten ostatni czas, miał kto z takimi honorami odprowadzić na wieczną wartę – kończy przedstawiciel zarządu miejskiego Nowej Demokracji.

Marek Jung pyta proboszcza, co wie o zmarłym. Ksiądz mówi, że od niedawna jest zarządcą parafii. Od swojego poprzednika słyszał, że zmarły był parafianinem, jakich jest coraz mniej. Każdej niedzieli przychodził do kościoła. Jeżeli nie mógł przyjść na mszę, to tylko z powodu choroby, ale i wtedy obecny był myślami w świątyni.

– Może ksiądz kanonik powie. – Wskazuje oczami na plecy swojego poprzednika, prowadzonego na parking przez obu wikarych. – Proszę pamiętać, że nie ma ludzi bez winy. Każdy człowiek jest słaby i popełnia jakieś błędy. *De mortuis aut bene aut nihil*, jak mówili starożytni, co w wolnym tłumaczeniu znaczy: o zmarłych tylko dobrze lub wcale.

– Niezły był z niego kozak – twierdzi ktoś za plecami Marka.

– Pan znał zmarłego?

Mężczyzna bez słowa rusza w stronę bramy, za którą jest przystanek autobusowy.

Przed oczami Marka staje Daniel Jung, starszy brat ojca, najpierw milicjant i policjant w pionie dochodzeniowym,

później dziennikarz śledczy, od sześciu lat spędzający dni na emeryturze jako autor poczytnych powieści kryminalnych i obyczajowych. Poproszę stryja, żeby dowiedział się, kim był ten, którego tyle osób uznało za bohatera, a nikt nie wiedział, jakie miał imię – postanawia.

Podchodzi do kopca wieńców i wiązanek opatulających świeży grób, notuje w pamięci to, co jest na tabliczce przygwożdżonej do krzyża z plastikowym Chrystusem:

Śp.

Wiktor Mrozek

***1945 †2025**

Pokój jego duszy

CZEŚĆ PIERWSZA

Stypendium fundowane

1968 r.

Rozdział I

Przy drewnianym krzyżu na rozwidleniu dróg Wiktorian Małolepszy wysiadł z pekaesu. Niebieski San skręcił w lewo.

Słyszał pianie koguta i gdakanie kur, ujadanie psa, miauczenie kotów, ryczenie krów, wołanie na konie, ale nie miał kogo zapytać, w którą stronę do dyrekcji. Rozglądał się, wychodził na środek wybrukowanej drogi. Nikogo nie dostrzegł. Na wprost przystanku stał taki sam dom ze spadzistym dachem, jakich wiele widział przez szybę autobusu. Przed nim żelazny płotek, zza płotka wdzięczą się karminowe malwy i jeszcze jakieś kwiaty. Na ścianie domu między oknami wisiała czerwona tablica z godłem i pod nim białymi literami układającymi się w napis „Sołtys Brzozowa”.

– Jak do pegieeru, to tam. – Nieogolony mężczyzna w drelichowych spodniach, zielonej koszuli i kaszkiecie na głowie wyprowadził Małolepszego na drogę i wyciągnął rękę w kierunku krzyża. – Jakies sto metrów i w prawo. Będzie pałac. Wejście od drogi zamknięte na amen. Trzeba iść do końca, gdzie brama, i od podwórka... Do roboty czy na kontrolę? Pewnie do roboty, bo jak na kontrolę, to by przyjechał tak-sówką – stwierdził takim głosem, jakby nie wierzył, że jeszcze ktokolwiek szuka pracy w pegeerze. On za żadne pieniądze nie zgodziłby się być dworusem, a tym bardziej podwładnym kogokolwiek. Co z tego, że dają mieszkanie, za które nie trzeba płacić, spłachetek ziemi na kartofle i warzywa, mleko za darmo, jak człowiek nie jest na swoim?

Sołtys nazwał pałacem to, przed czym Wiktorian się zatrzymał. Widział deski tam, gdzie powinny być wypucowane szyby, za nimi kwiaty na parapetach, firanki i zasłony. Urwana rynna zwisa nad gankiem, na który z jednej strony wdarły się gałęzie czarnego bzu, a z drugiej pędy kwitnących na biało zdziczałych róż. Między drogą i ścianą pałacu dojrzewały pokrzywy, osty i jeszcze inne chwasty, których nazwy Małolepszy powinien pamiętać przede wszystkim dlatego, że w torbie miał dopiero co podpisany przez rektora i dziekana dyplom magistra inżyniera rolnictwa w zakresie uprawy roli i roślin. Na środku podwórza śmierdzący gnojownik, zza którego widać czerwone dachy stodoły, stajni i obory. Obok stał rozkraczony wóz bez jednego koła, wszędzie leżały strzępy młockarni i czegoś podobnego do snopowiązałki. Może to była wialnia do zboża lub siewczarnia albo siewnik konny? Tylko dziada i baby brak. Czy nikt tego nie dostrzeże i nikomu to nie przeszkadza? Przecież jest tu dyrektor, który bierze pieniądze za to, żeby nie tylko kazać zorać pola jesienią, posiać pszenicę i latem zebrane ziarna zawieźć do magazynu, w maju posadzić kartofle, we wrześniu je wykopać i zakopcować, ale i dbać o porządek. To musi się zmienić.

Identyczny obraz student Małolepszy zastał trzy lata temu zaraz po przyjeździe na praktykę semestralną do Sitna. Drugiego dnia zapytał dyrektora gospodarstwa, czy mu bałagan nie przeszkadza. Przecież przyjemniej się pracuje, gdy wszystko jest na swoim miejscu, wokół panuje ład i porządek. Niewiele się niszczy. Zaskoczony tą uwagą dyrektor nie wiedział, co odpowiedzieć. Machnął ręką, przesunął czapkę na

czoło i bez słowa wyszedł z biura. Dopiero po jakimś czasie powiedział, że byłby większy pożytek z Wiktoriana, gdyby przestał zadawać pytania, tylko zajął się tym, po co skierowała go uczelnia do Sitna.

– Na państwowym jedni są od wydawania poleceń, panie student, drudzy od ich wykonywania – przypomniał. – Jak w wojsku.

Zaraz po wojnie dyrektor Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Sitnie był kierownikiem niewielkiego majątku ziemskiego pod Zgorzelcem, skąd przeniesiono go do dużo większego za Bolesławcem. Po niecałym roku został dyrektorem klucza gospodarstw zajmującego ćwierć powiatu kłodzkiego. Coś tam nie wyszło. Co, nie miał zamiaru wyjaśnić, chociaż nie on był winny. Dostał posadę na drugim końcu województwa, gdzie też nikt go nie znał. Nie był zadowolony z przenosin, ale co miał robić? Polecenie to polecenie. Od niego prawie nic nie zależało. Jesienią już w pierwszym roku jego obecności w nowym gospodarstwie Inspektorat Powiatowy PGR kazał obsiać rzepakiem dwie trzecie powierzchni pól, żeby powiat wykonał plan, chociaż wszyscy, tak w inspektoracie, jak i komitecie wiedzieli, że ziemia w Sitnie jest piaszczysta. Po tym, jak stanął okoniem, został wezwany do sekretarza komitetu powiatowego partii, od którego usłyszał, że kto ma władzę, ten ma rację, a on jest po to w Sitnie, żeby wykonywać polecenia zwierzchników, którzy najlepiej wiedzą, czego potrzebuje kraj oraz lud pracujący miast i wsi. Co innego, gdyby ta ziemia, te budynki, te zwierzęta i te maszyny były własnością dyrektora. O, wtedy byłoby jak na obrazku. A jak powinno być, on dobrze wiedział, gdyż wychował się

niedaleko Gostynia, gdzie jego ojciec, absolwent akademii rolniczej w czeskim Taborze, odziedziczył spory i przynoszący niemałe dochody majątek ziemski z mleczarnią, gorzelnią i cukrownią.

– Teraz wszystko jest państwowe – oznajmił dyrektor urzędowym tonem. – Państwowe, czyli należy do każdego i do nikogo – dodał i się roześmiał, ale po chwili spoważniał, jakby zdał sobie sprawę z tego, że powiedział za dużo. O Wiktorianie Małolepszym wiedział tyle, ile było w skierowaniu na praktykę, podpisanym przez prodziekana Wydziału Rolnego Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu.

Tamten pałac wyglądał jeszcze gorzej niż ten w Brzozowie, przed którym zatrzymał się już magister inżynier Wiktorian Małolepszy. Tamten był bez okien, drzwi, podłóg. Szramy na ścianach potwierdzały, że zostały wyrwane przewody elektryczne razem z gniazdkami. Zwaliska cegieł szamotowych w narożnikach pokoi dowodziły, że w tych miejscach stały piece opatulone ozdobnymi kafłami. Brakowało poręczy wzdłuż schodów na górną kondygnację, z której przez dziurawy dach można było oglądać bezchmurne niebo.

– Kto zniszczył? – spytał wtedy. – Przecież nie mógł zrobić tego ostatni niemiecki właściciel ani wojna, która obeszła Sitno bokiem.

– Ludzie – odpowiedział dyrektor krótko.

– Jacy ludzie?

– Dzicz ze wschodu.

– Ruscy żołnierze – domyślił się Małolepszy. – Spalili większość poniemieckich pałaców, zamków i dworów.

– Oni też, ale nie tylko oni, bo i my. Przez pierwsze powojenne lata, chociaż obsiewaliśmy pola, nie mieliśmy pewności, że doczekamy do żniw i ta ziemia będzie polska na zawsze. Nikt nie odważył się głośno powiedzieć, że Niemcy wrócą, ale większość tak myślała.

– Niedługo będzie dwadzieścia lat od tego dnia, kiedy stąd uciekł, został wypędzony czy wyjechał dobrowolnie, bo nie miał innego wyjścia, ostatni Niemiec. Wygląda więc na to, że oni nigdy nie wrócą.

– Obyś, młody człowieku, miał rację.

– Jak i nie wrócą na ojcowizny za Bugiem ci Polacy, którzy nie z własnej woli zajęli ponemieckie ich domy.

Dyrektor zbył milczeniem uwagę Małolepszego. W dzień zaglądał do „Gazety Robotniczej”, to i zdawał sobie sprawę z tego, że Polska będzie tu tak długo, jak długo będzie istniał Związek Radziecki. Ale gdy wieczorem słuchał Radia Wolna Europa, nachodziły go wątpliwości.

Wiktorian miał przed sobą takie same podwórze jak tamto w Sitnie. Na ławce pod rozłożystą lipą, na wprost śmierdzącego gnojownika, siedział starszy mężczyzna bez nogi i palił papierosa.

– Gdzie znajdzie dyrektora? – spytał.

– Będzie w biurze – odrzekł mężczyzna. – Chociaż nie, może być w domu. – Pochylił się, wysunął głowę, wbił wzrok we wrota stajni i po namyśle dodał: – Kolaski nie widać, to pojechał na pole. A gdzie na pole, to ja nie wiem. Trzeba popytać w biurze.

Żadna z dwóch kobiet także nie wiedziała, gdzie jest dyrektor. Starsza, w granatowej bluzce w czerwone maki,

powiedziała, że dyrektor nigdy nie mówi, co będzie robił ani tym bardziej dokąd się wybiera. Najrzadziej zagląda do biura, czego ona nie rozumie, bo w biurze jest najchłodniej, a jak jeszcze włączy się wentylator, to człowiek zapomina, że zaczęło się lato.

– Pan do naszego dyrektora? W jakiej ważnej sprawie? Z Głogowa? Pewnie z Zielonej Góry? A może aż z Wrocławia? Zgadłam? – rzucała pytania, nie pozwalając Małolepszemu odpowiedzieć natychmiast. – Chyba nie szuka pan pracy? A szkoda. Taki ładny chłopak by się przydał w Brzozowie, prawda, pani Broniu? – zwróciła się do młodszej kobiety, w błękitnej bluzce z krótkimi rękawami, siedzącej na wprost niej, która miała przed sobą po lewej stronie liczydło i po prawej płachtę papieru przykrywającą połowę biurka. – Lipiec, początek roku obrotowego, mamy najwięcej roboty – wyjaśniła, mimo że Małolepszy o nic więcej nie zapytał. – Każdego roku o tej porze mamy ręce pełne roboty, bo najpierw musimy zrobić bilans. Dyrektor podpisze i zawiezie go do inspektoratu. Potem kolej na aktywa i pasywa, to znaczy plan wpływów i wydatków... Pan do naszego dyrektora? – powtórzyła pytanie, mrugając do tej, która siedziała przy biurku na wprost niej. – Taki ładny chłopak...

– Do naszego – potwierdził Małolepszy, nie pozwalając jej dokończyć zdania. – Poczekam. Mogę tu? – pokazał na jedno z dwóch krzeseł przy piecu zimnym o tej porze roku.

– O wilku mowa, a wilk już tu. – Młodsza kobieta wskazała głową okno. – Nawet długo nie musiał pan czekać.

Małolepszy też usłyszał najpierw stukot końskich kopyt i turkot kół, potem stanowcze i głośne „Prr”, na końcu pytanie

kogoś innego, czy już zaprowadzić kolaskę do szopy, a Baśkę napić i podrzucić jej siana.

Z papierosem w ustach do biura wszedł wysoki, szczupły mężczyzna w granatowych bryczesach i okurzonych oficerkach. Przepocona koszula wystawała mu ze spodni. Nie zdjął z głowy przetłuszczonego kaszkietu. Małolepszy pomyślał, że profesor Laskowski miał rację, gdy mówił, że dobry dyrektor pegeeru powinien wyglądać tak, jak dziedzic spod przedwojennego Lwowa.

– Jak idzie bilans? Zdążycie na jutro? Bo jak nie, to... – rzucił dyrektor do kobiet i urwał, gdy starsza wskazała głową Małolepszego, siedzącego na krześle przy piecu.

– Do mnie? Z jaką sprawą? Chyba nie do roboty?

– Do roboty.

– Szuka roboty?

– Jestem tym, któremu przez dziesięć miesięcy gospodarstwo wypłacało stypendium fundowane. Magister inżynier Wiktorian Małolepszy.

– My? – dyrektor spytał zaskoczony tym, co usłyszał. – Stypendium fundowane?

– Jezu! To pan?! – wykrzyknęła starsza kobieta. – Trzeba było od razu powiedzieć, że jest pan naszym stypendystą. Pani Bronia czy ja zrobiłybyśmy herbatkę.

Dyrektor z papierosem w ustach przesunął kaszkiet na tył głowy. Patrzył to na kobiety, to na Małolepszego. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, o co chodzi.

– Stypendium fundowane? My wypłacaliśmy? – powtórzył pytanie, odpalając papierosa od papierosa.

– Jeszcze wiosną zeszłego roku przyszło pismo z Głogowa. Inspektorat kazał ufundować stypendium dla studenta Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu – przypomniała kobieta w granatowej bluzce w czerwone maki. – Pan dyrektor powiedział, że jak inspektorat każe, to nie ma co dyskutować. Ufundować, żeby się nas nie czepiali i żeby był święty spokój. Myśmy co miesiąc wysyłały pieniądze do Wrocławia.

– Możliwe – złagodniał dyrektor, jakby już coś sobie przypomniał.

– Zgodnie z umową podpisaną przez pana dyrektora i pana Małolepszego po ukończeniu studiów i obronie pracy magisterskiej stypendysta ma obowiązek odpracować pieniądze. To znaczy pracować przez tyle miesięcy, przez ile pobierał stypendium.

– Magister i inżynier?

– Pracę magisterską przygotowałem pod kierownictwem profesora Laskowskiego. Moja specjalność to uprawa roli i roślin – uściślił Małolepszy. – Czy pokazać dyplom?

– A po co magister inżynier w Brzozowie?

– Pan Małolepszy ma obowiązek odpracować stypendium, dyrektorze, a my zapewnić mu pracę i mieszkanie zgodnie z układem zbiorowym obowiązującym w państwowych gospodarstwach rolnych – przypomniała starsza kobieta takim tonem, jakby broniła Wiktoriana. – Tylko gdzie pan będzie mieszkał? Warunki w pałacu są... Chyba że u pana, dyrektorze?

– Pokoik na górze jest wolny – powiedziała młodsza.

– A jak przyjadą z Zielonej Góry na ocenę krów, to gdzie ich położę? – zwrócił się dyrektor do obu kobiet. – Traktorzysta,

a jeszcze lepiej taki, co jest po kursie na Vistulę by się przydał. Do czasu, aż ktoś się wyprowadzi, taki mógłby mieszkać nawet w baraku.

– To...? – zaczął Małolepszy i nie dokończył. Chciał zapytać, co ma robić.

– Mnie inspektorat nie pytał o zdanie. – Dyrektor znowu odpalił papierosa od papierosa. Już trzeciego w ciągu kwadransu. – Głógów kazał ufundować stypendium, to my ufundowali.

– Umowa jest rzeczą świętą. Skoro w niej zostało zapisane, że moim obowiązkiem jest odpracowanie stypendium, to chciałyby wywiązać się z tego zadania. Żyjemy w cywilizowanym świecie – Małolepszy powiedział to głosem zdecydowanym. – A stypendium nie zwrócę, bo pieniądze wydałem.

Prawdę mówiąc, to Wiktorian Małolepszy jako student miał tyle pieniędzy, ile potrzebował na swoje zresztą niewielkie wydatki. Od pierwszego roku studiów co miesiąc otrzymywał stypendium mieszkaniowe i socjalne. Mieszkał w akademiku. Żywił się w stołówce uczelnianej. Z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek każdego tygodnia był robotnikiem w magazynie prasy, za co dostawał tyle pieniędzy, że wystarczało mu na nowe buty, skarpety, koszule, kurtkę, wyjście do kina i wieczór z kolegami czy z Aliną w Pałacyku. Podpisał umowę stypendialną tylko dlatego, że po ukończeniu studiów musiał gdzieś pracować.

– Mnie nie jest potrzebny żaden uczoney magister i inżynier – oświadczył dyrektor. Trzasnął drzwiami i wyszedł z biura.

– Z naszym dyrektorem tak jest zawsze – powiedziała starsza kobieta.

Młodsza dodała cicho, że dyrektor boi się każdego, kto nie jest z Brzozowa. Głośniejsz powiedziała:

– Tak samo było w tym liceum w Głogowie, gdzie moja siostra uczy rosyjskiego. Przyjechał na staż taki jak pan, też po studiach i też we Wrocławiu, ale na uniwerku. Magister. Młody i do tego już partyjny. Od razu został zastępcą dyrektora. Teraz jest dyrektorem liceum. Bo dyrektor musi być partyjny.

– To co ja mam robić? – spytał bezradnym głosem Wiktor Małolepszy, licząc na podpowiedź.

– Niech pan jedzie do inspektoratu – poradziła starsza kobieta. – Myśmy zrobili to, co nam kazali.

POSŁOWIE

Niekiedy autorzy zaznaczają, że zbieżność powieściowych zdarzeń i bohaterów książki do osób żyjących jest przypadkowa. Idąc ich śladem wyjaśniam, że wszyscy bohaterowie *Świętej pamięci* urodzili się i żyli wyłącznie w mojej wyobraźni. Nie oznacza to, że niektórzy nie mają wybranych cech znanych mi osób przede wszystkim z mediów. Nawet najbardziej dociekliwy czytelnik nie znajdzie na mapie byłego powiatu szprotawskiego wsi Wojcieszycze koło Przemkowa. Fikcyjna jest umiejscowiona tam Stacja Hodowli Roślin, podstawówka, Prezydium GRN, pałac i plebania. Również fikcyjne jest przedsiębiorstwo budowlane Peberol w Szprotawie. Fikcyjne są także spotkania, rozmowy, zdarzenia z udziałem powieściowych bohaterów w Warszawie, Zielonej Górze, Kożuchowie i Szprotawie. Fikcyjne, ale w miejscach istniejących pod tymi adresami.

Nie jest fikcyjne lotnisko w podszprotawskich Wiechlicach, zapoczątkowane przez Niemców wtedy, kiedy wieś nazywała się Wichelsdorf. Mimo że Wiechlice, jak i cały były powiat szprotawski od 1945 roku należą do Rzeczypospolitej, lotnisko przestało być terenem wojskowym dopiero w 1992. Przez 47 lat z tego lotniska startowały i na nie wracały samoloty oznaczone czerwoną gwiazdą, należące do Armii Radzieckiej, podległe Północnej Grupie Wojsk z dowództwem w pobliskiej Legnicy. Radzieckich czy ruskich, jak się

wtedy mówiło o obywatelach Związku Radzieckiego noszących mundury wojskowe, w zachodniej Polsce było dużo. Ich pułki lotnicze i lądowe stacjonowały na Dolnym Śląsku, Ziemi Lubuskiej i Pomorzu Zachodnim, w miejscowościach nie wykazywanych na administracyjnych czy fizycznych mapach Polski.

Jako dziennikarz gazety codziennej byłem świadkiem zachowania wojskowych radzieckich na początku lat 90. dwudziestego wieku w czasie *pierestrojki* w Kęszycy koło Międzyrzecza i w Wędrzynie koło Sulęcina. Na lotnisku w Wiechlicach byłem dopiero wtedy, kiedy odleciał z niego ostatni samolot z czerwoną gwiazdą na skrzydłach. Tam usłyszałem, że wbrew zapewnieniom radzieccy zgromadzili broń atomową na terenie Polski. Gdzie? Magazyn głowic atomowych mógł być ukryty w lesie pod Szprotawą nieopodal lotniska. Pisząc powieść, pojechałem w tamte okolice tylko po to, żeby sprawdzić, ile prawdy było w tym, co usłyszałem we wrześniu 1992 r. Rzeczywiście niedaleko lotniska jest opustoszała budowla, na którą zużyto bardzo dużo cementu i stali. Czy to na pewno było miejsce magazynowania broni atomowej?

Jak wyglądały osiedla mieszkaniowe radzieckich oficerów, widziałem z okien autobusów, którymi dwa, trzy razy w roku jeździłem z Zielonej Góry do Jeleniej Góry i dalej do Karpacza. A wyglądały tak, delikatnie opisując, jakby nie miały gospodarza. Jak wyglądały sklepy na lotnisku i co można było w nich kupić, zobaczyłem jako licealista. Otóż po ukończeniu podstawówki w Kostrzynie nad Odrą, gdzie

nie było szkoły średniej, uczyłem się w liceum ogólnokształcącym w podszczecińskiej Chojnie. Tam w pobliżu miasta także było polskie lotnisko, zajęte przez radzieckich jeszcze przed podpisaniem układu poczdamskiego. Nawet w czerwcu, kiedy słońce przypiekało, okna w klasach były zamknięte, żeby samoloty z czerwoną gwiazdą przelatujące nad liceum nie zagłuszały nauczycieli. Kilka razy niewielką grupką wybraliśmy się do sklepów na lotnisku. Po pierwsze – z ciekawości, po drugie – po cukierki czekoladowe, które kupowaliśmy za złotówki. Na lotnisko dostawaliśmy się przez dziurę w ogrodzeniu.

O wypadku pod Osiecznicą koło Krosna Odrzańskiego zimą 1978 r. mieszkańcy Polski nic nie wiedzieli, a Lubuszanie tyle, ile podała „Gazeta Lubuska” dwa dni po tej tragedii. Wtedy w lewym dolnym rogu pojawiła się informacja zaczynająca się od zdań „W dniu 22 stycznia br., ok. godz. 20, na trasie między Krosnem Odrzańskim a Osiecznicą zdarzył się tragiczny wypadek drogowy. Autobus PKS, jadący ze Słubic do Zielonej Góry, zderzył się z samochodem ciężarowym, należącym do jednostki Armii Radzieckiej”. Czytelnik nie dowiedział się, że wypadek spowodował pijany kierowca z lotniska w Wiechlicach ani że zginęło 14 pasażerów autobusu (inne źródła mówią o 17 uczniach zielonogórskich szkół). Dopiero w 2010 r. w miejscu, gdzie to się wydarzyło, stanął obelisk z nazwiskami ofiar.

Zielonogórskie Osiedle Słowackiego domków jednorodzinnych zaczęło powstawać w latach 70. tam, gdzie dawniej na wzgórzach były winnice i sady. Prowadzi na nie Aleja

Juliusza Słowackiego, a znajdujące się tam ulice mają nazwy z utworów wieszca, na przykład Aliny, Balladyny, Kordiana, Horsztyńskiego, Beniowskiego, Lili Wenedy.

Zielona Góra, 14 stycznia 2025 – 4 stycznia 2026 r.

Spis treści

PROLOG

Stary Cmentarz 30 września 2025 r.	5
---	----------

CZĘŚĆ PIERWSZA

Stypendium fundowane 1968 r.	17
Rozdział I	19
Rozdział II	29
Rozdział III	38
Rozdział IV	48
Rozdział V	55

CZĘŚĆ DRUGA

Stacja Hodowli Roślin 1968-1974	61
Rozdział VI	63
Rozdział VII	70
Rozdział VIII	81
Rozdział IX	87
Rozdział X	96
Rozdział XI	102
Rozdział XII	109
Rozdział XIII	117
Rozdział XIV	128
Rozdział XV	138
Rozdział XVI	143
Rozdział XVII	151
Rozdział XVIII	161
Rozdział XIX	168
Rozdział XX	173
Rozdział XXI	178
Rozdział XXII	186
Rozdział XXIII	195
Rozdział XXIV	202
Rozdział XXV	208
Rozdział XXVI	219

CZĘŚĆ TRZECIA

Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego 1974-1980	231
Rozdział XXVII	233
Rozdział XXVIII	245
Rozdział XXIX	253
Rozdział XXX	258
Rozdział XXXI	267
Rozdział XXXII	278
Rozdział XXXIII	287
Rozdział XXXIV	295
Rozdział XXXV	300
Rozdział XXXVI	309
Rozdział XXXVII	316
Rozdział XXXVIII	321
Rozdział XXXIX	330

CZĘŚĆ CZWARTA

Agencja Nieruchomości Rolnych 1999-2010	339
Rozdział XL	341
Rozdział XLI	348
Rozdział XLII	359
Rozdział XLIII	365
Rozdział XLIV	369
Rozdział XLV	376
Rozdział XLVI	383
Rozdział XLVII	393
Rozdział XLVIII	402

EPILOG

Więzienie	411
------------------	------------

POSŁOWIE	422
-----------------	------------

SKRÓTY	426
---------------	------------